

wiarygodną szybkością, na kilku projektach jednocześnie, które przywieźli „bykinia-rze” i rozstawili w świetlicy wiejskiej, oglądał filmy ze swojej przeszłości: czasy austriackie, dwie wojny światowe, w których walczył na wielu frontach, a pomiędzy nimi biedny ale pełen nadziei międzywojenny okres niepodległej Polski; okupacja niemiecka; spalenie wsi przez UPA; no i wreszcie ten panujący jeszcze, nienaturalny, bezlitosny, sowiecki komunizm. Więc, gdzie tu było miejsce na przyjemności, na szczęście? Ale gdy głębiej spojrzeć na przeszłość, zauważył również, że na płaszczyźnie tej niemal nieustającej tragedii narodowej, zdarzały się również chwile piękne, dla których warto było żyć i walczyć.

Krótką burzliwą młodość, miłość do żony i dzieci, przywiązanie do rodzinnej ziemi, w którą wchodził się pazurami i nie pozwolił się z niej wyrugować. Wspólne polowania i spotkania przy ogniskach. A na końcu spokojna starość. I przez te wszystkie lata przeszedł razem z jedną kobietą; kobietą którą kochał, która była mu przyjacielem i podporą; karmiła go i ubierała, i wspierała w chwilach, gdy upadał na duchu. Przez całe życie grał się przy jej kuchni. A przy tym, gdziekolwiek był i cokolwiek robił, zawsze ojczyznę, Polskę, jak matkę rodzoną, miał w swoim sercu i stawiał na pierwszym miejscu. Była więc w jego życiu miłość i radość, ale i bólu nie brakowało. Była wiara, prosta wiara w Boga, ale także i w to, że świat nie musi być zły, że ludzie potrafią otrząsnąć się z głupoty. Dlatego każdy przeżyty dzień był przepełniony nadzieją, że kiedyś dobro zwycięży nad złem; że zobaczy jeszcze lepszy, sprawiedliwszy świat, jeżeli nie tutaj, teraz, to może później, po tamtej stronie drogi.

Nadzieja zawsze mu towarzyszyła, pozwalając spokojnie patrzeć w przyszłość. Był przecież twardym chłopem; jesienią z radością orał ziemię i siał zboże, licząc na to, że następnego roku zbierze plon i jego rodzina nie będzie głodować. Miał więc wszystko, czego potrzebuje człowiek do pełnego życia. I był szczęśliwy. Ale jak najprościej, w jednym zdaniu, mógł teraz tę całą wiedzę przedstawić? Jakby powiedział ktoś bardziej uczony, w jednym zdaniu streścić, wyłuskać istotę sprawy? Powiedział więc po swojemu:

– Oj Feliks, Feliks, żarty się ciebie trzymają. Czegom sobie najwięcej użył? Długo by o tym mówić, a i tak prawdy całej nie dociekniesz... No, chyba tylko kartofli ze skwarkami, czasami z dodatkiem pieczonej dziczyzny, spacerów po lesie z flintą na ramieniu; i trochę tego nieba, co go to baba ma pod spódnicą.

W tym momencie roześmiał się jego powoli gasnące oczy. A wraz z nim, po raz ostatni, śmiali się jego najbliżsi i przyjaciele.

– A toś mnie, chłopie, zaskoczył – powiedział Feliks. – No to pójde teraz i wysikam się za ciebie, bo jeszcze na koniec babie łóżko zmoczysz.

Na podwórku Feliks nadal się uśmiechał, a później długo wycierał spływające mu po policzkach grube łzy. Żał mu było rozstawać się z przyjacielem. Przypominał sobie również swoją dawno zmarłą żonę, która, gdy, zdarzało się, wracał do domu po kilkudniowej

nieobecności, jeszcze nie całkiem trzeźwy, i bał się pokazywać jej na oczy, litowała się nad nim i wołała go w końcu na obiad:

– Chodź coś zjeść, bo zdechniesz z głodu gdzieś pod ludzkim płótem, i nawet takiego chłopca nie będę miała.

Powoli zbliżał się wieczór. Hen wysoko nad ciemną ścianą lasu wisiał już – oświetlony czerwonym blaskiem, ukrytego za horyzontem, zachodzącego słońca – cieniutki sierp księżyca. Powietrze drgało jeszcze tysiącami odgłosów i blasków kończącego się dnia. Przyroda, a wraz z nią i wieś, szykowały się do spokojnego, cichego snu. A Feliks powoli, podpierając się laską, wyszedł na Górę Przypor. Usiadł na ławce przy zagonie kartofli. Stąd rozciągał się najpiękniejszy widok na okoliczne góry i pocięte rzekami doliny. We wsi migotały światła w oknach wiejskich chałup, w których toczyło się zwyczajne życie: kobiety doily krowy, mężczyźni krzątając się po obejściach, wykonywali ostatnie tego dnia gospodarskie prace; wiazali na noc konie do żłobów, a główną ulicą, z radosnym krzykiem i piskiem, biegały gromady małych dzieci. Takie życie znał, rozumiał i kochał. I był szczęśliwy, chociaż osobiście jeszcze nie zbierał się do drogi, że pozostawi tutaj swoje potomstwo...

Daleko w dole, za jego plecami szemrały, parujące po gorącym dniu, wody Sanu. Ale on tego nie mógł słyszeć, po prostu wiedział i wyczuwał, że tak jest. Siedział, myślał i zastanawiał się: Czym jest prawdziwa miłość i szczęście? Jaki jest ostateczny cel i sens ludzkiego życia? I co nas czeka po śmierci? Czy życie, które przeżył było dostatecznie pobożne, uczciwe i dobre, aby miał śmiałość zapukać do bram raju? Był to bowiem taki bieszczadzki, chłopski filozof, który lubił zadawać sobie i innym zwyczajne pytania. Gdy był młodszy, mógł go spotkać, drogi czytelniku, w każdej środe w Birczy na jarmarku, gdzie, stukając po bruku laseczką, spokojnie i z godnością przechadzał się pomiędzy straganami. Czasami coś sprzedawał, rzadziej kupował, ale zawsze interesowały go konie i ludzie. Konie głośko po grzywnach, a ludziom opowiadał o przedwojennych wyprawach na jarmark do Dobromila. Na koniec zachodził do restauracji, gdzie po obiedzie, w towarzystwie kolegów, lubił wychylić kieliszek albo dwa.

Teraz – podobnie jak jego przyjaciel, dzielili w końcu prawie ten sam los – był przekonany, że doświadczył w życiu wiele cierpień, ale i miłość go nie omijała, a nawet wiele rodzajów miłości. Niczego nie żałował. Dlatego sądził, że i jemu udało się uszczknąć dla siebie coś z tego ziemskiego szczęścia, o którym mówił Jan. Ale jako człowiek rozumny, nie był przekonany, czy zasłużył sobie na coś więcej. Miał tylko nadzieję, tak jak my wszyscy, że to nie jest jeszcze koniec, a dopiero początek. Że tam w Krainie Wielkich Łowów – po śmierci – a stał już przecież także jedną nogą za progiem, czeka go nowe, lepsze życie. Bowiem głęboko wierzył w to, że dobry i sprawiedliwy Bóg okaże mu miłosierdzie. I ta wiara pozwalała mu spokojnie patrzeć w przyszłość.

Wiesław Hop

Poezja

Napisałem poemat. Rodzaju żeńskiego. A choć go, a właściwie ją, nosiłem wszędzie ze sobą, ochraniałem i w dzień i w nocy, nawet nie wiem, kiedy i z kim zaszła w ciążę! Jeszcze miał(a) do mnie pretensje, że jej nie upilnowałem. I choć napisałem ją sercem oraz miłością, nie potrafię właściwie odczytać jej treści, które mieści w swym pęczniejącym wnętrzu. Że jej nie rozumiem, nie pojmuję, nie szanuję. Już nie tylko jej bogatego wnętrza, ale także zewnątrz, które jest jeszcze zasobniejsze, bo przecież on(a) jest głównie poza słowami i przyziemnością, poza konkretem i zrozumieniem, wymyka się wszystkim przewidywalnością...

– I tak wymknęłaś mi się z rąk i zaszłaś w tę nieszczęsną ciążę. Tylko z kim? Z kim?!

Jakby mnie nie słyszała. Dalej nawija na motek niecierpliwości, że najważniejsze i najpiękniejsze jest to, czego nie widać, a co tylko niektórzy są w stanie poczuć, pojąć, ogarnąć... Te jej stany, gdy wlatuje w siódme i kolejne nieba... Słowem bredzi jak baba w urojonej ciąży...

Ale każda ciąża, nawet ta urojona, ma swój początek i koniec. A tu on(a) pęcznieje i pęcznieje. Jedno jest pewne: to ciąża mnoga i przenoszona. Na szczęście, w pewien kwietniowy poranek nastąpiło rozwiązanie problemu, które stało się jednocześnie pomieszczeniem z popłataniem. Na świat przyszły, a właściwie wyskoczyły, od pierwszej chwili rozpychając się łokciami i bełkocące coś niezrozumiałego... wierszyki! Takie małe, krótkie, ale za to agresywne wierszotka. Współczesne, wszystkowiedzące, przemądrzałe, beczelne, rozwrzeszczane, zagłuszające pseudointelektualnym jazgotem wrażliwe istotki chowające się pod listeczkami koni-czyn i malw...

A poemat, czyli matka rodzicielka, kołała cichutko, przysypywana lawiną pustych słów z najgorszymi epitetami i przekleństwami... Kołysana nikomu już niepotrzebnymi rymami i rytmem...

I tylko Pegaz zarżał (a może zachichotał?), rzucając śnieżnobiałe piórko na jej świeży grób. Zaś dzieci, niesforne, hałasujące stworzonka, głuche i otumanione chorą nowoczesnością brnęły w chaos, już nawet nie wiedząc, co to harmonia i piękno...

Juliusz Wątroba

